

VIII

Wybuchnęli śpiewem:

Sto lat, sto lat!

Niech żyje, żyje...

Przyłożył palec do ust.

– Ciii...

Śpiewali dalej – na trzydzieści, może nawet na czterdzieści głosów. Z boku huczał baryton Feliksa, gdzieś z tyłu niewidoczny Gustaw wtórował dyszkantem, pełna skala głosów męskich i kobiecych, w tym i ona, Zofia – bezdźwięcznie chyba, ruchem ust tylko – ale śpiewa mu, śmieje się, oczy jej błyszczą.

Potem towarzystwo całe przegrupowało się, powstały jakieś ruchy, prądy, nurty, zawirowania, wreszcie wyłonił się porządek nowy – porządek składania życzeń.

– Dziękuję, dziękuję – deklarował Ignacy, któremu wręczono już kieliszek wódki, za chwilę drugi, trzeci, potem tort symboliczny ze świeczką samotną, którą zdmuchnął, zapomniawszy o życzeniu, a wypiek gdzieś zaraz zniknął i już nikt więcej go na oczy nie widział.

Podchodzili znajomi pierwszo-, drugo- i trzeciorzędni, ściskali ręce, jedni zdawkowo, oficjalnie, inni wylewnie i dobrodusznie obejmowali, obcałowywali. Żeby kobietę, żeby miłość znalazł, żeby praca, że doktorem, profesorem czym prędzej, żeby stypendia, granty, nagrody, medale, Nobel i Gloria Artis, żeby babę, żeby damę, że pieniędzy, zdrowia, szczęścia, pomyślności, ale zdrowia przede wszystkim i pieniędzy oraz szczęścia, pomyślności, wszystkich marzeń, czego sobie sam zażyczy.

– Nie trzeba było, nie trzeba – zarzekał się, gdy wręczano mu prezenty, ale im bardziej się zarzekał, tym większymi czułościami go obsypywano.

Dostał kilka flaszek różnego rodzaju, które Gustaw rekwirował stanowczo, choć grzecznie i z niejakim uczuciem, obiecując oddać później – do tego kilka książek rozmaitych, albumy, leksykony, wszystko perfekcyjnie niepotrzebne – a od Zofii piękny notes w grubej, skórzanej oprawie wręczony ze słowami:

– Na błyskotliwe myśli.

– O, jaki cienki – zauważył przytomnie.

Zbliżały się doń twarze już rozochocone, lekko podbite, słowa wypowiedano za głośno, ściskano za mocno, szeptało coś wilgotnymi ustami, wpadło jeszcze kilka zmarzniętych osób, a Feliks po drodze wyliczał mu, kto jest, kto ma być, a kogo nie będzie.

– Kto ich tyłu zaprosił? – jęknął wreszcie Ignacy ze zgrozą, czując, że mógł się odrobinę zagalopować.

– Z rozmachem, z pompą! – wymruczał Feliks.

Jeszcze kilka bibelocików, głupotek – litości, niektóre takie brzydkie – ze dwie powieści autorów, których nie

znał, i parę gorących przeprosin, że zapomnieli, że nie wiedzieli. Te ostatnie przyjmował nawet z ulgą. Wreszcie pociągnięto go za ramię, zakręcono nim, w rękę wciśnięto jeszcze jeden kieliszek, wychylił, przepił, wybuchnął śmiechem – i wielkie łapy Feliksa ulokowały go na krześle.

– Dziękuję – podziękował.

Zamrugął oczami. Przy stoliku siedział on, Feliks, Klara z głupawym uśmiechem, Gustaw rozczmokany nad Zofią, Zofia przy nim rozanielona, promotor pracy magisterskiej Ignacego, jego opiekun naukowy – staruch szalony, co on tu robi! – tulący czule kufel piwa, do tego dwóch jeszcze znajomych ze studiów, wciśniętych tu chyba na siłę.

– Tłumaczę przecież temu bałwanowi skończonemu, uszanowanie moje, Gucio, zdrowie! – Przepił doń. – Tłumaczę, żeśmy wszystkie stoliki zarezerwowali, ale nie, nie dociera. – Wyjaśnienia te najwidoczniej skierowane były do Ignacego, a Feliks przy tym wskazywał na salę, gdzie między gośćmi balowała w najlepsze grupa nieznanomych. – Mówi mi, że to bar, nie restauracja i można pić na stojąco.

Gustaw nie reagował, tylko świergotał coś do Zofii uparcie, choć rubasznie, po wujowsku.

– Panie! – Szturchnął go Feliks. – Młody sobie nie radzi.

Faktycznie, przy sąsiednim stoliku nadmieniony Młody tak zapamiętałe wycierał rozlane piwo, że trącił łokciem dwa inne i zaraz wszystko spłynęło. Gustaw obrzucił tę scenę ciężkim wzrokiem i wstał niechętnie.

- Zapraszamy cię jako gościa, nie barmana, gościa – przedrzeźniał. – Odpoczniesz sobie, wypijesz...

Ignacy już chciał się przesiąść do Zofii, ale wolne miejsce natychmiast ktoś zajął i rozmowa potoczyła się leniwa, swobodna, o niczym – dla Ignacego wyjątkowo irytująca. Obiecał sobie, że popije trochę – zbierze w sobie odwagę – zaczeka, aż popije i ona, i wtedy zadziała.

- Zdrowie! Zdrowie! Za jubilata! – Stukali się kieliszkami, kuflami, wzniesiono kilka toastów, podchodzono doń, przepijano, zapraszano do rozmowy, do innych stolików, namawiano, ale opierał się jeszcze, zarzekał, że później, że za chwilę podejdzie, że noc jeszcze młoda.

Gwar, hałas, harmider rósł, muzyka grała coraz głośniej stare przeboje, ktoś bliżej pianina śpiewał głosem zdartym i nieprzyjemnym, wkrótce podniosły się chórki, gdzieś z boku odezwała się konkurencja i zaśpiewała coś całkiem innego. Czas mijał nieubłaganie, a Ignacy trwał twardo przy stoliku, siedząc naprzeciwko Zofii, i walczył, walczył jak lew, by powiedzieć coś mądrego, i żałując strasznie, że ten notesik mu sprezentowany – zupełnie pusty. Wlepił wzrok w niego w pewnym momencie, powąchał – pachniał pięknie, skórą i świeżym papierem – przybywajcie, muzy i wy, bogowie wojny, gwałtu i podboju!

Nie mógł sprowadzić rozmowy na pożądane tory, nie mógł złapać okazji, by z Zofią prywatnie, sam na sam, by wybadać sprawę, dowiedzieć się, jak się zapatrauje na dzień wczorajszy, nie mógł się skupić nawet,

więc wszelkie konwersacje, które nawiązywał, rwały się szybko i zaraz ktoś inny próbował, z drugiej strony, albo Ignacy sam się włączał, a efekt tego był taki, że mówił tylko pojedyncze zdania, zupełnie niezwiązane ze sobą, jak na przykład:

– Tak, Marc Chagall był najlepszy ze swojego pokolenia.

Po chwili natomiast:

– Nie, nie jeżdżę tamtędy.

Albo:

– Metempsychoza.

Tudzież:

– Wydaje mi się, że przeszło dwoma głosami.

Ewentualnie:

– Danton, jak mniemam.

Czy wreszcie:

– Mniej lej, do połowy.

Chciał rozmawiać z Zofią, musiał koniecznie, ale tak przez stół, w hałasie, w natłoku dźwięków trzeba było krzyżeć nieomal, krótka wymiana zdań zaraz się skończyła, za to mógł jej polewać, miał ją na wyciągnięcie ręki, więc dbał o to, by zawsze miała pełen kieliszek, mrugał przez stół i stukali się, wychylali – wychylali wszyscy – a czasem, nadprogramowo, przepijał do niej Feliks albo Gustaw, nawet Klara. We wnętrzu gorącym, wypełnionym dymem (Gustaw ryczał, że nie wolno, aż wreszcie sam zapalił) zaraz im się horyzonty poszerzyły, spojrzenie zyskało nowe perspektywy, punkt widzenia dojrzał i spoważniał. Wnętrze rozpływało się wielobarwnie – dymiło im z czubów.

Ignacy przeprosił, wstał za potrzebą – zakręciło mu się w głowie, wpadł na kogoś, przeprosił, wypił – udał się w miejsce ustronne, odczekawszy swoje w kolejce, gdzie nikomu nie było do śmiechu – zrobił, co trzeba, i obmył twarz zimną wodą. O dziwo, spodobało mu się to, co zobaczył w lustrze. Ledwo wyszedł znów na salę, pociągnięto go za ramię, zaproszono do rozmowy, podsunięto uczynnie alkohol, wypowiedziano nieśmiertelne:

– Z nami się nie napijesz?

A potem:

– Pan magister nie brata się z młodzieżą?

I zaczęło się na dobre – karuzela, kołowrót.

Tu go fetowano, tam chciano się wyzalić, tamten prosił o pomoc, inny oferował, ktoś chciał mu postawić drinka, inny prosił o pożyczkę, ktoś go obgadywał głośno, nie wiedząc, że Ignacy stoi za plecami, ktoś go wychwalał pod niebiosa, ale zaraz stracił wątek. Wznoszono toasty, parę razy cała sala piła jego zdrowie, parę razy pito je lokalnie. Ścisk się zrobił straszliwy, tłum, zgiełk, huk i „Bóg się rodzi”, nieskończona ilość konstelacji ludzkich, tworzących się i rozpadających na bieżąco. Nim wrócił do swojego stolika, towarzystwo przy nim zmieniło się zupełnie.

– Siadaj pan. – Pociągnął go za rękaw profesor, który ostał się tam jako jedyny, otoczony przez grono doktorantów i zwykłych ciekawskich. Pokraśniał jak wiśnia, z której wyrastała śnieżnobiała szopa włosów. – W kocie moim wzbudzam doświadczenie *sacrum* wedle metody doktora Otto, to znaczy, odpowiednio: *mysterium*,

tajemnicę, budzę naturalnie poprzez wyższość i większe skomplikowanie natury mojej nad jego, następnie *tremendum*, strach, poprzez krzyki okazjonalne, poprzez następowanie na ogon, poprzez gonienie wokół stołu, poprzez prask! przez łeb w chwilach nieoczekiwanych, następnie *fascinans...*

Ignacy wstał, wypatrując Zofii, a już wciągnęło go w orbitę kółko spiskowców.

– Terroryzm! – prawil student ostatniego roku. – Terroryzm architektoniczny celem fizycznej likwidacji najbardziej obelżywych, oburzających przykładów rozpełnienia się pod-budownictwa, inżynieryjnego turpizmu, dysharmonijnej zarazy!

Już był Ignacy gotów pisać z nimi manifest, gdy zaściągnięto go gdzie indziej.

– Mnie, na przykład, nic bardziej nie podnieca – tłumaczyła jakaś dziewczyna, oblizując przy tym wargi – niż kiedy mogę dotknąć mózgu.

– To neurobiolog – szepnął ktoś z boku, ale Ignacy już się od nich oderwał.

– Malinowski na Trobriandach romansował z Ruth Benedict! – twierdził ktoś obok.

– Nie – oponowano. – To Witkacy z Benedict, kiedy ta się już rozstała...

Ignacy rozejrzał się bezradnie i ruszył przez tłum.

– Nienawidzę go, jest taki...

– Zajęcia będą od siódmej rano, skandal.

– Ja tam nawet wolę...

– Sto czternaście... Sto piętnaście...

– Podobno zdradził ją na konferencji w Budapeszcie, gdzie pojechał z referatem...

– Ona jest psychologiem, leczy się z tego podobno.

– Zabrakło mi czternastu punktów...

– To szmata, z drugiej strony ma piękny charakter.

– Znakomita struktura narracji, ale tło społeczne nakreślone niechlujnie, niepoprawnie...

– Oliwka dla dzieci, wyobraź sobie.

– Ignacy!

– Co za kretyn.

– Co za brednie.

– Ignacy...

Odwrócił się.

– Wszystkiego najlepszego raz jeszcze. – Zofia objęła go i pocałowała gdzieś w szyję. – Jak się miewasz?

– Wspaniale.

Czknęła i zachichotała, a jej chude ciało trzęsło się od tego chichotu całe. Czknęła ponownie i nagle zmarkotniała.

– To od picia – poskarżyła się.

– Musisz wstrzymać oddech.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Tak! Na dziesięć sekund. No już, raz...

– Nie! – zaprotestowała i dodała cicho: – Uduśzę się.

– Będę cię pilnował. Dalej! – Złapał ją za nos i ścisnął. – Raz...

Zacisnęła usta i wyduła policzki.

– Pięć... Sześć...

Znowu czknęła.

– To nie działa.

Ignacy rozejrzał się, wypatrzył na stoliku obok bezańskie piwo i podał jej. Obejrzała je sceptycznie, ale wzięła łyk.

– Lepiej? – spytał.

– Być może. – Stali w tłoku bardzo blisko siebie, ocierali się nieomal. – Powiedz mi coś błyskotliwego! Zaskocz mnie – zażądała – zachwyć, onieśmiel!

Nachylił się ku niej lekko, otworzył usta, zamknął, otworzył, nachylił się jeszcze mocniej, zmarszczył czoło, napiął komórki nerwowe, aż wreszcie wygłosił:

– Myślę, więc jestem.

Znów zachichotała, tym razem bez czknięcia, więc krótką chwilę trwał w przekonaniu, że mu się dowcip udał wybornie i doprowadzi go dokądś, ale Zofia wysliznęła się bokiem, schwyciła go za rękę, puściła – nie wiedział, czy to było zaproszenie, czy ucieczka.

Kawałek dalej wybuchła kłótnia o metodę. Dwa zwaśnione stronnictwa naukowe, które zorganizowały się w toku przyjęcia, starły się teraz na słowa, oba najwidoczniej równie pijane. Padło kilka wyzwisk, zrobiło się nieprzyjemnie.

– Przyjaciele, spokojnie – tonował ich Feliks, ale bez rezultatu.

– Trzeba być skończonym kretyńcem, żeby wyznawać tak przestarzałe poglądy! – perorował ktoś, kogo Ignacy nie poznawał. – Co najmniej cztery różne prace w ciągu ostatnich pięciu lat obaliły wasze...

– Bzdura! Wymień jednego autora, który nie był stetryczalym pijakiem!

Ignacy odwrócił się, zobaczył, że Zofia z kimś zawzięcie dyskutuje, przedarł się tam czym prędzej, przegonił natręta, porozmawiali chwilę, ale znowu ktoś go zaczepił, ona znowu gdzieś zniknęła, a potem raz jeszcze i raz jeszcze – Petrarca, Rossini, Caravaggio – wódka żołądkowa – czysta żytnia – język mu się plątał, w głowie szum, zaczął śpiewać coś, ludzie mu zawtórowali, zaraz zapomniał słów, przestał – znowu Zofia, cała błoga, cała parująca – znowu musiał za potrzebą – znowu nie mógł jej znaleźć.

– Co za... Szaszam... Feluś? – Złapał kogoś pod ramię, ale to nie był Feliks. – Pszam...

Wreszcie ją zobaczył. Stała blisko drzwi, oparta o ścianę, z jedną ręką za plecami, drugą bawiąc się naszyjnikiem, a przy niej, a przed nią – o, zgrozo, o, losie, o, Melpomeno – nadskakiwał Tytus.

Ignacego przeszedł dreszcz. Wszystko obracało się przeciwko niemu – ten tłum gości, który miał mu złożyć hołd wiernopoddańczy, który miał być żywym dowodem jego potęgi, stał się jego przekleństwem. Ten bar, który był mu drugim domem, który miał mu dać warunki jak najlepsze do rozegrania wszystkiego po swojemu – ale jak, ale kiedy! – przyniósł największe zagrożenie.

Gdyby ten pies parszywy nie był się wczoraj pojawił, gdyby się tak bezczelnie, bez poszanowania dla niej, dla świętości narzeczeństwa, dla niego, na Boga! – dla Ignacego – gdyby się do niej nie przystawiał... Jakże mógł nie pomyśleć, jakże mógł nie zapobiec!

Przepchał się tam, nie przepraszając, odpychając delikwentów łokciami, i stanął przed nimi z miną zaciętą i złą.

– Ignacy, najlepszego! – przywitał go Tytus serdecznie. – Nie mam nic dla ciebie, ale może na koszt firmy, co zechcesz, niech ci przy barze podadzą.

– Dziękuję – powiedział z wymuszonym uśmiechem i nie ruszywszy się o krok, dodał cierpko: – Nie przeszkadzajcie sobie.

– Tak więc, jak już mówiłem – rzekł tamten lekko zdziwionym tonem. – Gościliśmy tu kiedyś trzech znakomitych aktorów...

Ignacy nie słuchał wcale, obdarzał tylko ciężkim spojrzeniem to Tytusa, okropnie trzeźwego, to Zofię, która – choć oparta o ścianę – zdawała się i tak tracić równowagę. Słuchała z wytężoną uwagą, tym bardziej wytężoną, im ciężiej jej było się skupić, szarpała naszyjnik, czasami zerkała na Ignacego, a on nie mógł za nic dojść, co to właściwie ma znaczyć, jak powinien zareagować, czego się od niego oczekuje. Wpadał coraz bardziej w tępą i bezsilną wściekłość. Poprosiłby, żeby wyszła z nim, żeby gdzieś prywatnie, pod byle pretekstem – późno się robiło, północ prawie – ale gdzie iść, skoro tam mróz, tu miejsca ani trochę – poprosiłby mimo tego, ale po co, skoro ona słucha Tytusa, słucha go uważnie – pewnie z nim by chciała – jak to przerwać, ten impas, impas, bezruch, beznadzieję. Teraz, gdy nikt nie woła, nie ciągnie za rękaw, gdy sala za nimi w sztok pijana, przyplątał się Tytus, promieniując trzeźwością, elokwencją, mocą, gdy on, Ignacy, już o krok za daleko, o jeden kieliszek za dużo. Ona tak samo, ale jej to dodawało uroku, ona od tego stawała się możniejsza – jego możność malała. A przecież

byleby tylko nie straciła przytomności, a potraktowałby ją jak kobietę.

Nagle wzmógł się harmider i podniosły gniewne okrzyki. Ignacy zignorowałby to najchętniej, lecz nie mógł przecież, musiał podążyć za zaciekawionymi spojrzzeniami Zofii i Tytusa, odwrócił się. Wyglądało na to, że kłótnia o metodę przybrała na sile. Powstały dwa stronnictwa po dwóch stronach baru, zdominowane przez męską część gości, i już o nic im nie chodziło, tylko o wyładowanie agresji. Stali, krzyczeli coś na siebie, wrywali się, prężyli – sycili się swoją marnością, chuderlawością i słabością – podskakiwali w podnieceniu, wymachiwali rękoma. Niektórzy próbowali ich uspokoić, ale znaleźli się i tacy, którzy judzili, dogadywali jeszcze, szeptali coś przy uchu, zachęcali, a tym większą to było zachętą, jeżeli dobywało się z ust niewieścich. Feliks znowu się tam pojawił, próbował mediować, ale tylko rozognił nastroje.

– Panowie, panowie! – Rozłożył ręce, trącił kogoś przypadkiem w brodę i zaczęło się.

Poleciały ciosy, zakotłowało się, zawirowało, Feliks zniknął jak porwany przez odmęty oceanu. Ucichła muzyka, Gustaw darł się coś z drugiego kąta, Ignacy postąpił krok naprzód – i zawahał się. Tytus za nim, miast uspokajając walczących, otworzył na wpół drzwi i pociągnął Zofię za rękę.

– Chodź – usłyszał jego zatroskany głos. – Tu niebezpiecznie.

Ludzie nadal kipieli wzburzeniem, Feliksa nie było widać, Gustaw ucichł, Klara nieopodal drzemała przy

stole. Nie było wiadomo, czy będą się bić jeszcze, czy to już koniec. Powinien iść, uspokajać, tuszować, prosić – a za nim Zofia oderwała się od ściany i powoli poddawała się, postępować ku drzwiom, już jej Tytus jakiś płaszcz z wieszaka podawał, zupełnie nie jej. Ignacy poczuł, że kolana mu miękną, bo odwrócił się, a ona jakby wcale go nie widziała, za to Tytus swoją łapą trzymał jej dłoń, a ona, nieśpiesznie, niedostrzegalnie – z nim, za nim. Zapadła cisza, cisza potężna, szumiąca, zwodnicza, pełna przekleństw zmielonych w ustach, szeptów podekscytowanych, cisza pełna napięcia – i czuło się, że zaraz nie wytrzymają, że znowu ktoś komuś w mordę przyłoży.

– Walca, walczyka! – wykrzyknął nagle Gustaw z tamtej strony sali, a gdy tylko rozległa się melodia łatwa, przyjemna, przedarł się brutalnie na środek i tam, na skrawku wolnej przestrzeni pomiędzy skłóconymi, złaapał pierwsze z brzegu dziewczę i zatańczył.

Tłum rozstał się troszkę.

Taniec ich był niezdamy, nieporadny i jakby weselny. Gustaw wyglądał dziwacznie, korpulentny, następujący na stopy zirytowanej partnerki, którą przytrzymywał przy sobie właściwie na siłę. Parsknięto raz i drugi, zarechotano, ale zaraz podniosły się głosy złowrogie.

Ignacy odwrócił się raz jeszcze. Tytus już na zewnątrz, Zofia stała w drzwiach z jedną ręką w rękawie cudzego płaszcza, ale zatrzymała się jeszcze – patrzyła oczyma roziskrzonymi na to niezgrabne cudo ledwo widoczne zza pleców innych. Lecz już, już ją Tytus pociągnął – już wyjść mieli – już dopadła Ignacego niemoc potężna, smutek bezbrzeżny, rozpacz wszechogarnia-

jąca – i wiedział, że nic nie zrobi, że na nic go nie stać, że jest niegodny, że brak mu sił.

Znienacka łeb Feliksa wychynał znad tłumu. Wzrok miał dziki, włos zmierzwiiony. Spojrzał na Gustawa – Gustaw na Ignacego – Ignacy na Feliksa – Feliks na Zofię – i ten wskoczył nagle na krzesło, po czym huknął głosem potężnym, państwowotwórczym:

– Nikt nie umie t a ń c z y ć w a l c a!

Zeskoczył na dół, jak wichura porwał od stołu śpiącą Klarę, zakręcił nią i półprzytomnej wymierzył siarczysty policzek. Krzyknęła wzburzona, ale szepnęła jej do ucha dwa, trzy rozgorączkowane słowa i zaraz przybrali właściwą pozycję. Ciała w kontakcie, ramiona wysoko, linie subtelne. Pianista grał natchniony melodię przedwojenną. I raz, i dwa, i trzy – kroki pewne, pełne gracji – w górę, w dół, i raz, i dwa, i obrót, obrót!

Pojął Ignacy, jaką to możliwość dla niego stwarza, cóż to za pomysł genialny, ten walc na ratunek! Odebrać Zofię z rąk cudzych, stworzyć sytuację intymną, z definicji dwuosobową – lecz ona już prawie wyszła, słabo się opiera, patrzy jeszcze do środka wprawdzie, ale nie na Ignacego przecież, wcale a wcale.

Widok Gustawa i Feliksa walczących z partnerkami odmienił sytuację, wyjątek zaczął przeradzać się w regułę. Zaraz jedna z drugą złapały swoich i zmusiły do tańca, zaraz profesor wyciął hołubca i porwał młodziutką studentkę – i jakoś tak, po chwili, po kolei, prawie każdy obracał się, jak potrafił, na zaimprovizowanym parkiecie, a kto nie chciał, wycofywał się pod ścianę. Muzyka brzmiała skocznie i wesoło, aż się

pianista tym wszystkim podekscytował i uderzył w ton poważny, w Chopina – musiał to być Chopin, bo cóżby innego! – grał nieudolnie, rzępolił, ale nikt nie zauważył, tańczyli zapamiętale. Jakaś koleżanka chciała wyciągnąć Ignacego, lecz opędził się od niej odruchowo, jak od muchy natrętnej, ponury jak chmura gradowa. Czekał tylko, aż na plecach przestanie czuć zimny podmuch od otwartych drzwi, aż odejdą wreszcie, a gdy to się stało, obrócił się jeszcze, by Zofię obrzucić ostatnim spojrzeniem męczennika. A wtedy znowu odmieniły się losy wszechświata.

Jego konkurent, demon wcielony, istny Belzebub, zmienił widocznie taktykę i też chciał zatańczyć. Wprowadził ją z powrotem do środka, stanęli o krok od Ignacego. Tytus nachylił się ku Zofii, zaproponował, zaprosił – i jednym łapskim dłoń jej ujmując, drugim najpierw zdjął i odwiesił płaszcz, a potem – jak śmiał, jak śmiał! – złożył to łapsko swoje na jej kibici, by następnie, powoli, posuwiście, przesunąć niżej, na jej pośladki – a o n a z a d r ż a ł a .

Ignacy nie zdzierzył.

Podszedł do nich, odepchnął Tytusa – ten stracił równowagę, przewrócił się – Zofia spojrziała na niego z radosnym zaskoczeniem – on ujął jej dłoń, poczuł uścisk zachęcający – twarz do jej twarzyczki zbliżył – nos o nos oparł – utonął w bezdennych studniach jej źrenic – i w pół ją objąwszy, z półuśmiechem, oczy na w pół zmrużywszy, powiedział półgłosem:

– Za mną.

Ruszyli.